

a następnie spytał jednego z przechodzących żydów, gdzie mieszka Icek Zweigbaum.

— Pan mówi Zweigbaum?... Icek?... my mamy dwóch takich, o którego pan pyta? Jeden handluje zbożem, a drugi skórami, do którego pan chce?

Bal zajął do notesu, lecz nie znalazł potrzebnych szczegółów.

— Niech pan powie co za interes, a ja panu powiem, który to dobry dla pana. Czy źle mówię? Już ja się domyślam, że panu potrzebny ten od zboża. Czy nie tak?

— Istotnie tak.

Żyd podał dokładny adres, a Bal znów zapytał:

— A wie pan, gdzie mieszka Chaim Nuss?

— Na, ten mieszka nie daleko — i opisał dom — ale to stolarz. Może pan potrzebuje mebli?...

— Nie... chcę obstałować ramy.

— Ja sprzedam tanio... mam gotowe. Czy to nie wygodniej?

Z trudnością pozbył się żyda i puszkał Chaima Nussa.

Przez brudną, wilgotną, sień wszedł na podwórze zawałone deskami, heblowniami, trocinami a w głębi stały wpadnięte w ziemię ściany oficyny.

Z prawej strony była mała izba mieszkalna z kuchnią, z lewej warsztat stolarski. Przez otwarte drzwi izby dojrzał Bal nędzne umeblowanie i kilkoro dzieci, przypatrujących mu się ciekawie. Matka ocierając mokre ręce fartuchem spytała:

— Czy wielmożny pan do stolarza?

— Tak jest... do Chaima Nussa... Czy jest w domu?

— On jest; ja go zaraz zawołam, czy wielmożny pan chce coś obstałować? — spytała z uśmiechem radości.

— Mam interes.

— Niechże wielmożny pan siada — podała stołek — on bardzo się ucieszy z obstałunku, teraz takie ciężkie czasy... Ja biegnę po niego, on zaraz będzie... Cicho dzieci! Sza!

Dzieci zbieżyły się w kupkę pod ścianą a po wyjściu matki najmłodsze zaczęło krzyczeć, inne zawtórowały i dopiero uspokoiły się cokolwiek, gdy obiecał pierników i wyszedł z izby.

Po chwili wszedł szybko na podwórze Chaim ze zdyszana żoną, która znikła w izbie. Był to żyd niski, barczysty, blondyn piegawaty, z gęstą rudawą brodą. Skłonił się nisko, pytając:

— Czego wielmożny panie?

Bal widząc jego ubóstwo, nie miał odwagi powiedzieć mu wprost z czym przyszedł i rzekł:

— Potrzebuję ładnej skrzyni mocnej, dwa łokcie długości, na łokieć wysokości.

— Na kiedy? Może być jutro.

— Bardzo dobrze, o cenę nie pytam, bo wiem, że mnie nie skrzywdzicie towarzyszu.

Chaim łypnął oczyma, jak człowiek uderzony światłem, odstąpił trochę, zmierzzył badawczo gościa i dodał z uśmiechem przyjacielskim:

— Ja nikogo nie krzywdzę, tembardziej towarzysza.

— Widzę, że dano mi dobry adres — i zrobił ruch do podania ręki.

— Schowaj pan rękę — szepnął Chaim — tu są oczy.

— Wielmożny pan — mówił głośno Chaim — chce zobaczyć towar? Dobrze, on jest w warsztacie...

Gdy obaj weszli do niskiej, wilgotnej izby, Bal przemówił:

— Za dwie godziny potrzebuję bryczki lub wozu z parą koni... bez furmana... chcę kupić. Możecie mi pomóc?

— Móż, mogę... ale po co zaraz?

— To sekret, a wam towarzyszu wystarczy, że za dwie godziny musi być wóz z końmi.

— A gdzie pan chce jechać? przecież nie do Warszawy?

— Konie potrzebne tylko na tę noc.

— Tak?... To ja panu powiem co innego. Ja

wzmę na noc parę koni i bryczkę, ja się zgodzę, pan zapłaci. A gdzie te konie będą jutro? A może ja sam pojedę?

— Nie towarzyszu, jechać nie możecie, to sprawa niebezpieczna i sekretna. Konie mogą zostawić w Czyżewie, albo gdzieś po drodze.

— Hm... a kto wam dał mój adres?

— Dostałem od towarzysza Nestberga.

— On sam wiedział o mnie? — zawołał z błyszczącymi oczyma.

— Tak jest, on mi dał.

— Nu, kiedy on, to ja słucham. Konie będą, gdzie zajechać?

— Przyjdzie do was towarzyszu Michał, jemu oddacie konie do ręki o dziewiątej godzinie, a gdzie mają być jutro?

— Ten co będzie jechał, niech się pyta o zajazd Nuchima w Czyżewie, ja tam będę. Czy dobrze?

— Zgoda, a tu daję wam towarzyszu na rachunek sto rubli.

— Po co sto? Ja za konie i bryczkę może za-

zawili się starszy strażnik Dymitrow a pokłoniwszy się spytał:

— „Nu gaspadin, przyjdzie gaspadiu naczelnik k' wam“.

— „Da, obieszczę“.

— „Nus, charaszo, ot spokojna noc; ale skazit na wierno?“

— „Dał czestnoje słowo“.

— „W'ot charaszo... do swidania gaspadin“ — i salutował.

Wchodzącego do pokoju spytał Kola:

— Konie są?

— Będą.

— Słuchaj Balu... ja zastąpię twoją siostrę — a widząc przeczący ruch prosił: — przynajmniej pozwól mi być w pobliżu.

— Co ci się śni? Ty jesteś konieczny przy grze, ani na chwilę nie opuścisz naczelników... Nie ma o czym mówić, byłś o szóstej?

— Ledwie poznałem Marcelka, tak go zmienił mundur... Towarzysze gotowi, o dziesiątej będą w pobliżu kasy.

— Dobrze... a Michał był?

— Czekaj w szynku zajazdu... pójdę go zawołać.

— A wiesz Kola, zdaje się, że strażnicy prześpią się dzisiaj.

— Mówiłeś?

— Tak sądzi Dymitrow.

— To i lepiej — wyrzekł Kola.

Uwiedziwszy Michała, gdzie ma iść po konie, kiedy wyjechać i gdzie czekać na Wandę, zwrócił się następnie do Koli:

— Chodźmy do resursy Szaji, trzeba urządzić przyjęcie i trunki.

IV.

Z uderzeniem ósmej godziny zeszli się zaproszeni w salce u Szaji, a widok stoła zastawionego przekąskami i fiaskami rozjaśnił twarze naczelników.

Zaczęło się od wódki, a już około dziewiątej zabawa tak postąpiła, że podochocony sztabkapitan Jegorow zaproponował, aby zaprosić jego znajomego oficera kozaków, którzy dziś przyszli po południu do miasta.

— Hm... kozak — skrzywił się Wasyl Wasyliwicz — u nich szczupła kieszeń, a gardło szerokie.

— Ot prawdę powiedział — śmiał się naczelnik — mamy honorową kompanię, po co nam kozaka?

— Na, jak nie, to nie i zaczynać, bo szkoda czasu.

— A możeby na początek zagrać winta? — zaproponował Kola w nadziei, że ominie go gra.

— Dlaczego nie? można i winta — uśmiechnął się łaskawie naczelnik — ale nas pięciu a wychodnemu będzie smutno.

— Alboż niema się czym zabawić? — wskazał Kola na zastawiony stół.

— Wint dobry dla starych — śmiał się Jegorow — a dla nas „krótki...“ Czy nie tak panowie?

— Co dużo gadać, sztos panowie — zawołał Wasyl Wasyliwicz — ja przyszedłem na rewanż w sztos.

Na razie gra szła dość ospale, naczelnicy i oficer byli ostrożni, pierwszy Bal zaczął ryzykować i kilkakrotnie zawołał: „Va banque!“ zawsze nie szczęśliwie. Z początku szczęście sprzyjało naczelnikowi i przy nim wzrastała ilość złota i papierów, natomiast Wasyl Wasyliwicz dotychczas ani razu nie wygrał. Naprawdę okrecał się z krzesłem w około, brał karty lewą ręką, siadał bokiem, grał stojąco, karta nie szła. Wypił z rzędu kilka wódek wreszcie zirytowany zawołał:

— Napewno siedzę pod belką — i spojrzał gniewnie na sufit.

— Nie powiesz was Wasylu Wasyliwiczu — zaśmiał się Jegorow — szubienica dla socjalistów i innej swoloczy.

— Już pięćdziesiąt rubli dyabli wzięli! — zaklął w odpowiedzi na ten żart.

— Dobry nos mieliście — zaśmiał się naczelnik — wymawiając się służbą od tej gry... no i jakże smakuje wam ta służba!?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tu mieszka pan naczelnik...

placę pięć, może dziesięć rubli. Ja nie chcę sto rubli.

— Więc bierzcie dwadzieścia pięć, bo będziecie mieli wydatki.

— Co za wydatki?... wystarczy rubel.

— Bierzcie — podał papierkę dwadzieścia pięć rublowy — dziś koleją jedźcie do Czyżewa... a z końmi bardzo ostrożnie poczynajcie, nikt nie powinien wiedzieć, że były oddawane.

— Ja to wiem, bądźcie spokojni... ja biore te pieniądze, będą na skrzynię, a może niepotrzebna?

— Potrzebuję i przyjdę po nią... a gdyby koniom coś się stało, odpowiada Nestberg, napiszcie do niego.

— Ja to wiem. A kiedy przyjdzie do mnie ten drugi towarzyszu?

— Michał będzie o ósmej.

— To dobrze... A teraz powiedzcie mi panie czy nasza robota idzie? Czy będzie nam lepiej?

Bal upewnił go o rozwoju i pracy partyi, a uradowany Chaim, pragnąc słuchać pocieszających nowin odprowadził Bala do zajazdu.

Tuż przed zajazdem, jak gdyby z pod ziemi